

ANDRZEJ F. GRABSKI

O ROMANIE DMOWSKIM — STARE I NOWE*

Tradycje, z którymi się nie zgadzamy

Czy chodzi tutaj jedynie, jak powiada Andrzej Micewski, o „nasz stosunek do tych tradycji historycznych, z którymi się nie zgadzamy”? Sądę, że problem ten należałoby rozpatrywać w kategoriach bardziej ogólnych, mianowicie naszych postaw w stosunku do narodowej przeszłości w ogóle, w związku z postawami wobec konfliktów i problemów terażniejszości. Stosunku człowieka do współczesnego mu świata terażniejszego nie da się bowiem oderwać od jego postaw wobec tej przeszłości, z której się owa terażniejszość wzięła. Konkurują tu ze sobą dwa zasadniczo różniące się od siebie ogólne stanowiska, które nie są bynajmniej wymysłem polemisty. Jeżeli akceptuje się terażniejszość z dobrodziejstwem inwentarza, przyjmując za własny wybór już przez kogoś dokonany, a więc pasywnie, wówczas można się zadowolić dokonaniem już autorytatywnie wyborem tradycji, a wszystko, co się w niej nie mieści, może być doskonale obojętne. A zatem nie powstaje wtedy w ogóle problem stosunku do tych tradycji, których nie akceptujemy, i można je po prostu uważać za niebyłe. Nie trzeba chyba dodawać, że postawy takie miały i mają po dziś dzień swoje realne odpowiedniki w życiu społecznym. Niechybnie mniej wygodny jest inny model współczesnego człowieka, model aktywny; dokonując bezustannie własnych wyborów w terażniejszości, odmiennie od swojego poprzednika spogląda on również w przeszłość. Nie uważa jej za raz zamkniętą całość, nie zadowala się dokonanymi wyborami tradycji, ale powodowany własnymi niepokojami i poszukiwaniami najzupełniej współczesnymi, dokonuje własnych reinterpretacji tradycji, poszukując w nich nowych, żywych treści, a nie jedynie koturnowego historycznego sloganu. Dopiero owa aktywna postawa aktualizuje zagadnienie stosunku do tych wątków tradycji, których nie uważa się za własne, ale nie sposób uznać za niebyłe i — powiedzmy to szczerze — nie mające żadnego oddziaływania na terażniejszość.

Przyszły historyk nie tylko intelektualnych dziejów naszej epoki będzie miał nie lada kłopoty z określeniem ogólnych, aby nie rzec filozoficznych korzeni postaw, wyrażających się w przekonaniu, że niedostrzeżenie czegoś, niemówienie o czymś, *eo ipso* stanowi o jego nieistnieniu. Gdy chodzi o problemy i konflikty współczesności, to mogą one same o sobie przypomnieć, i czynią to — jak wiemy — nieraz bardzo brutalnie. Ale co rzec o sprawach i sporach, które odeszły w przeszłość, stały się przedmiotem historii i zdawałoby się — choć jest to najczęściej pozór — że straciły jakiegokolwiek znaczenie dla późniejszej od nich terażniejszości? Ich adekwatnego rozpoznania domaga się nie tylko poznawcza ciekawość historyka, pragnącego wiedzieć, jak mówił Leopold von Ranke, „wie es eigentlich gewesen”,

* Niniejszy szkic polemiczny opublikowany został pierwotnie w krótszej redakcji na łamach tygodnika społeczno-kulturalnego „Odgłosy” w dwóch odcinkach, opatrzony redakcyjnymi tytułami, w nrze 45(781) i 46(782) z 5 XI i 12 XI 1972. Nadając mu obecną formę skorzystałem wiele z uwag i wskazań prof. dra K. Dunin-Wąsowicza, za co jestem mu serdecznie zobowiązany.

ale i głębokie przeświadczenie współczesnego humanisty o wzajemnej współzależności wieków, które się nawzajem wyjaśniają.

W przedmowie do drugiego wydania swej książki *Z geografii politycznej II Rzeczypospolitej* (1966) A. Micewski dał wyraz przekonaniu o współczesnym funkcjonowaniu w świadomości części naszego społeczeństwa niektórych poglądów endeckiej proveniencji i wątpię, czy przemiany ostatnich lat pozwoliłyby na zaprzeczenie słuszności tej obserwacji. Jest ona chyba jeszcze jednym dowodem na oczywistą prawdę, którą na ogół już się wprawdzie uznaje, ale powściągliwie nie wyprowadza się z niej najprostszyc wniiosków, że milczenie o sprawach ruchu narodowo-demokratycznego, a zwłaszcza jego ideologii, jakie przez długie lata było udziałem naszego piśmiennictwa, nie przyczyniło się do pełnego przezwyciężenia tej ostatniej w społecznej świadomości, a kto wie, w jakiej mierze sprzyjało narastaniu mitów. Dlatego, wbrew wcale liczny m wciąż przeciwnikom, należy z optymizmem ocenić fakt, że polska nauka historyczna uczyniła w ostatnich latach zasadniczy krok naprzód w badaniach również nad dziejami polskiej prawicy, by prócz dawnej i pionierskiej pracy Henryka Jabłońskiego (1953) wskazać na studia Mariana Orzechowskiego (1965), Romana Wapińskiego (1966), ostatnio zaś ogarniające najszerszy krąg problemowy badania Jerzego J. Tereja: książka *Rzeczywistość i polityka* (1971), poświęcona schyłkowi Stronictwa Narodowego, oraz bardziej od niej popularny, cenny zarys syntetyczny: *Idee, mity, realia. Szkice do dziejów Narodowej Demokracji* (1971). W tym samym nurcie zainteresowań historycznych — nie zawsze jednak interpretacji — mieści się znaczna część pisarstwa A. Micewskiego. Mam tu na myśli w szczególności jego pierwszą, głośną książkę o geografii politycznej II Rzeczypospolitej (1965, 2 wyd. 1966) oraz — i to przede wszystkim — wydaną ostatnio w wydawnictwie „Verum” (1971) pracę, opatrzoną krótkim tytułem: *Roman Dmowski*. Potrzeba książki o tym wybitnym przywódcy i ideologu obozu narodowo-demokratycznego jest niewątpliwa, zwłaszcza takiej, która nie byłaby ani hagiografią, ani paszkwilem. Przy obecnym stanie badań nie sposób wymagać, by mogła to być od razu w pełni wyczerpująca, naukowa monografia i niechybnie przyjęcie konwencji publicystyki historycznej jest w tym wypadku wyjściem bodaj optymalnym. Zadaniem autora było — jak pisał na wstępie — „możliwie wierne przedstawienie człowieka, istoty jego koncepcji i działań”, przy czym od razu zastrzegł się on, że nie pretenduje do wyczerpania całokształtu problematyki i świadomie dokonuje jej selekcji, skupiając się na świadectwach i wątkach w jego przekonaniu najistotniejszych. Wszystkie te ogólne założenia autora nie mogą budzić zastrzeżeń; zadaniem krytyki będzie ustalenie, w jakiej mierze zostały one i jak zrealizowane w jego pisarskiej praktyce.

Warsztat historycznego publicysty

Jest samo przez się zrozumiałe, że warsztat publicysty, podejmującego ambitną wycieczkę w rejony historii, różni się od tego, którym dysponuje (a w każdym razie winien dysponować) profesjonalny historyk. Zdaje mi się wprawdzie, że najistotniejsza różnica niekoniecznie polega na tym, że publicystyka historyczna czy też historyczno-polityczna — jak pisał A. Micewski w swej pierwszej książce — „jest pisana z myślą o współczesności”, bo związki historiografii, nawet tej najambitniejszej, z jej terażniejszością są niejednokrotnie również bliskie, ale na odmiennym stosunku do historycznego tworzywa, słowem źródeł i wykorzystywanej literatury. Powstaje jednak pytanie, jak dalece godzić się na ową inność publicznego warsztatu, w jak wielkiej mierze może on odstępować od reguł postę-

powania, które historyk z racji swej profesji uważa za zasadnicze? Rzec o R. Dmowskim, wielokrotnie bardziej niż poprzednie prace A. Micewskiego, nasuwa tutaj nieco uwag.

Czy wolno, więc — czy jest w ogóle możliwe podejmowanie trudu kreślenia w zamierzeniu obiektywnej pracy o bardzo kontrowersyjnej postaci jakichkolwiek dziejów, w oparciu o relacje, materiały, dokumenty itp. pochodzące niemal wyłącznie od opisywanego bohatera, jego współpracowników i przyjaciół? Jest to metoda hagiografii, tak kościelnej, jak historyczno-politycznej, praktykowana zresztą powszechnie, ale metoda niebezpieczna i częstokroć wręcz uniemożliwiająca osiągnięcie zamierzonego przez autora celu. Tymczasem rzecz A. Micewskiego o R. Dmowskim opiera się niemal wyłącznie o źródła proveniencji endeckiej, filo- i poendeckiej, jeśli nie liczyć raz wspomnianego tekstu, ciepłego zresztą w swym charakterze, Jana Cynarskiego-Krzyszewskiego oraz powołanych pamiętników Bolesława Limanowskiego, pracy Kazimierza Czarnockiego, no i oczywiście pewnych wypowiedzi Józefa Piłsudskiego. Czyżby nie istniały inne, godne wyzyskania źródła, o innej proveniencji, które rzuciłyby światło na życie, działalność i ideologię R. Dmowskiego? Śmiem wątpić, nawet wiem, że tak nie jest. Jednostronność wykorzystanego przez autora materiału źródłowego, której w tym stopniu nie obserwowaliśmy w jego poprzednich pracach, musi budzić zrozumiąłą nieufność krytycznego czytelnika. Kolejne zastrzeżenie ściśle wiąże się z powyższym. Jest zasługą A. Micewskiego, że dotarł do częstokroć bardzo ważnych dla tematu materiałów rękopiśmiennych, takich jak papiery Stanisława Kozickiego, materiały Ignacego Paderewskiego, Stanisława Grabskiego i inne, że sięgnął do niewyzyskanych dotąd przez badaczy zbiorów prywatnych, co stało się z niewątpliwą korzyścią dla książki. Pozostaje jednak faktem, że w bardzo dużej swej części, mianowicie w pierwszych sześciu rozdziałach (na dziesięć składających się na całość) rzecz A. Micewskiego wykazuje znaczną, czasem aż zbyt znaczną zależność od wydawnictwa Mariusza Kułakowskiego *Roman Dmowski w świetle listów i wspomnień*, którego tom I, jak dotąd — o ile mi wiadomo — jedyny, ukazał się w Londynie w 1968 r. staraniem Instytutu Romana Dmowskiego w Ameryce. Publikacja ta, choć zrodzona z intencji apologetycznych, przedstawia znaczną wartość, zawiera bowiem na ponad czterystu stronach druku liczne źródła, prawie wyłącznie proveniencji endeckiej, w tym wiele dotąd niedrukowanych, do życia i działalności przywódcy Narodowej Demokracji. Zrozumiałe, że była to dla A. Micewskiego gratka nie lada, że pełną garścią sięgnął do zbioru M. Kułakowskiego, ale... dokładne porównywanie obu tekstów prowadzi do wniosku, że niewiele bądź wcale poza to wydawnictwo wykroczył, a czasem niezbyt ceremonialnie streszczał już nie tylko ogłoszone przez emigracyjnego autora źródła, do czego miał pełne prawo, lecz także — co gorsza — i jego edytorskie komentarze. W publicystycznej wypowiedzi na temat niniejszego szkicu dokonuję porównania fragmentów w tekście A. Micewskiego z fragmentami tekstu M. Kułakowskiego, w których — jak mi się wydaje — występują zbyt daleko idące zbieżności. Nie chciałbym tego obecnie powtarzać, przytoczę tylko jeden bardzo wymowny przykład.

A. Micewski, s. 64—65: „we Lwowie pozostał Popławski, redagując tam „Wiek XX” i „Polaka”. Po przeniesieniu „Przeglądu Wszechpolskiego” do Krakowa Liga Narodowa uzyskała z początkiem 1902 r. we Lwowie nowy organ w postaci wykupionego od spadkobierców Stanisława Szczepanowskiego „Słowa Polskiego”. Redakcję tego pisma objął przybyły z Warszawy Zygmunt Wasilewski. Stało się ono aż do 1905 r. głównym organem Ligi i organizującego się Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego. Trzecie obok lwowskiego i krakowskiego, warszawskie środowisko Ligi, pracujące w specjalnych warunkach konspiracyjnych,

zapewniało przede wszystkim środki materialne, konieczne na tak szeroką działalność wydawniczą. W Warszawie pracami Ligi kierowali dwaj pozostali członkowie Komitetu Centralnego — Karol Raczkowski i Teofil Waligórski, razem z Józefem Kamińskim, zajmującym się sprawami finansowymi”:

M. Kułakowski, s. 230—231 (komentarz wydawcy): „We Lwowie pozostał Popławski jako redaktor „Wieku XX” i „Polaka”, a niedługo po przeniesieniu „Przeglądu” do Krakowa uzyska Liga Narodowa z początkiem marca 1902 nową placówkę pracy publicystycznej i politycznej w postaci wykupionego z rąk spadkobierców Stanisława Szczepanowskiego „Słowa Polskiego”, które pod redakcją ściągniętego z Warszawy Zygmunta Wasilewskiego będzie aż do roku 1905 w pewnym sensie nieoficjalnym centralnym organem Ligi Narodowej i organizującego się jednocześnie Stronnictwa Demokracji Narodowej. W ten sposób równomiernie rozłożone role środowiska lwowskiego i krakowskiego w dziejach Ligi Narodowej w tym czasie nie zmniejszają w niczym pozycji Warszawy, która koncentrując się głównie na działalności w granicach zaboru rosyjskiego, współdziałała czynnie w ramach swoich bardziej ograniczonych możliwości w pracach Ligi poza kordonek, głównie przez zapewnienie podstaw materialnych jej działalności. Tam nad całością prac Ligi czuwają dwaj inni członkowie Komitetu Centralnego Ligi, Karol Raczkowski i Teofil Waligórski, który pospołu z Józefem Kamińskim „ministrem skarbu” Ligi i licznym poczetem działaczy prowincjonalnych stanowią z gronem emigrantów galicyjskich sprawnie działający aparat kierowniczy ruchu narodowego w tym okresie”.

Jeśli ktoś ciekaw innych zestawień, niech porówna strony pracy A. Micewskiego ze stronami wydawnictwa M. Kułakowskiego: s. 27—28 ze s. 28, s. 31 ze s. 29, s. 36 ze s. 32, s. 44 ze s. 174—175, s. 49—50 ze s. 185—187, s. 53—55 ze s. 202—208 i inne. Wszystkich tych zbieżności tekstowych, z których bardzo wiele nie zostało przez autora zaznaczonych powołaniem się na swego poprzednika, które byłyby choć trochę uzasadnione tylko w wypadku przytaczania źródeł, jest tu niestety bardzo wiele. Co więcej: spotykamy się z przykrymi próbami maskowania zapożyczeń, jak np. na s. 36, gdzie podając za I. Chrzanowskim (za pośrednictwem M. Kułakowskiego, s. 32) — co nie zostało zaznaczone — tekst wyroku w sprawie R. Dmowskiego, wtrącone w nawiasie objaśnienie I. Chrzanowskiego opatruje się wymownym: „dopisek mój — A. M.”. Spotykamy się z objawami zwyczajnego niechlujstwa, jak na s. 49, gdzie w powołanym ustępie tekstu Zdzisława Dębickiego (źródło zostało tym razem wskazane: znów M. Kułakowski) omyłkowo zamieniono słowo „przeczuwałem” na „przypuszczałem”, czy na s. 55, gdzie w tekście R. Dmowskiego podanym — co zaznaczono — za emigracyjnym wydawnictwem, pokręcono interpunkcję. Przykłady niechlujstwa, wynikającego pewnie z pośpiechu, można by mnożyć: do nich należy znaczna liczba powtórzeń, jak np. na s. 37 i 53, s. 26—27 i 108, s. 157 i 315 (jest ich o wiele więcej), a wreszcie prawdziwe *curiosum*. Proszę mi wybaczyć, że znów będzie zestawienie dwóch krótkich tekstów, z jednej i tej samej książki tego samego autora:

A. Micewski, s. 251: „Do Paryża przyjechała z kolei delegacja Naczelnika Państwa przywożąc list Piłsudskiego do Dmowskiego, ów słynny list datowany w Przemyślu 21 grudnia 1918 r., zaczynający się od słów „Drogi Panie Romanie”.

A. Micewski, s. 297: „Słynny list sprzed półtora roku, który wbrew wielu publikacjom zaczynał się od słów „Szanowny Panie Romanie”, a nie „Drogi” (patrz *facsimile* listu w londyńskiej „Kronice” nr 37/1967), był wyrazem potrzeby chwili (...)”.

Zastrzeżenia można by mnożyć. Nie Dmowski, ale, jak wiadomo, kto inny jest założycielem Towarzystwa Oświaty Ludowej (s. 57). Bardzo wątpliwe, czy można

rząd Paderewskiego określić z całą pewnością jako kompromisowy (s. 252). Na s. 70 w relacji Dmowskiego mowa jest o Wilhelmie Feldmanie i Erneście Breiterze, nie zaś, jak „objaśniono” w indeksie (s. 416—417), o Józefie Feldmanie i Emilu Breiterze. Lwowski poseł demokratyczny Hausner miał na imię Otto, a nie — jak w indeksie s. 418 — Artur Walenty; podobnie dobrze byłoby rozróżnić dwóch Hallerów i nie czynić wielokrotnie wymienianego Józefa Stanisławem (*vide* indeks s. 418). Dwukrotnie wspomniany został Ernest Adam (s. 175 i 189): pierwsze jest imieniem, drugie nazwiskiem, a nie odwrotnie, jak w indeksie s. 417. Następcą M. Bobrzyńskiego na fotelu namiestnikowskim był nie Adam, ale Witold Korytowski (s. 203). Darujmy sobie resztę szczegółów.

Przytoczone tu przykłady rzucają ostre światło na istotne braki warsztatu historycznego publicystyki A. Micewskiego. Jest to tym bardziej przykre, że obok zwyczajnej „złej roboty” mamy przecież w tej książce sporo kart cennych, że wreszcie tak drastycznych — w moim przekonaniu — niedostatków warsztatowych nie było w jego dawniejszych publikacjach.

Mankamenty metody i co z tego wynika

Jednostronność podstawy źródłowej prowadzi nieuchronnie do jednostronności zawartych w opracowaniu informacji, co w znacznym stopniu ogranicza możliwość osiągnięcia zamierzonego przez autora celu — możliwie uzasadnionej i obiektywnej prezentacji życia, działalności i myśli bohatera książki. Zjawisko polskiego burżuazyjnego nacjonalizmu, którego R. Dmowski *magna pars fuit*, omawiane w wielu miejscach pracy, w braku perspektywy porównawczej jawi się nam jako osobliwie polski fenomen, podczas gdy już choćby współczesne krytyki programu narodowo-demokratycznego, takie jak np. broszury *Nasi hakatyści* (Paryż 1900), *Nasi socjaliści*, napisał b. członek L. N. (L. Wasilewski) (Londyn 1904), nie mówiąc już o publicystyce Ludwika Kulczyckiego (*Współczesne prądy umysłowe i polityczne*. Lwów 1904) i bardzo wielu innych, sugerowałyby zastanowienie się, w jakiej mierze jest on zjawiskiem ogólniejszym, europejskim, w jakim zaś stopniu indywidualnym, polskim. Własna R. Dmowskiego idea swojskości nie stwarza w tym względzie należytej perspektywy i utrudnia raczej, niż ułatwia zrozumienie eksplozji polskiego nacjonalizmu pod koniec XIX i na początku XX stulecia jako ogólniejszego zjawiska powszechnodziejowego, mającego swoje odpowiedniki zarówno w Niemczech, jak we Francji, w Rosji i innych krajach. Zresztą uważna lektura pism samego R. Dmowskiego, choćby tylko z okresu do 1905 r. wskazałaby, w jakiej mierze w argumentacji polskiego ideologa funkcjonował przykład obcy: zdecydowanie zbyt optymistyczne oceny „kierunków nacjonalistycznych w obcych krajach, jakie serwowała publicystyka endecka, były jak wiadomo ostro zwalczane z lewicy, by znów wspomnieć choćby tylko L. Kulczyckiego. Nikła wzmianka o rozwoju „agresywnych nacjonalizmów” w Niemczech i Rosji oraz o tym, że „nacjonalizm polski — w pewnej mierze — stanowił naturalną reakcję obronną” (s. 80) (o ileż głębiej spoglądał na ten sam problem Lenin w dyskusji z Różą Luksemburg!), czy informacja o fascynacji Dalekim Wschodem w nacjonalizmach zachodnioeuropejskich nie rozwiązuje jeszcze problemu.

Przeszliśmy tedy do sfery interpretacji: pod tym względem rzecz A. Micewskiego również budzi sporo wątpliwości. Nie chciałbym być tu pomówiony o złośliwość, ale po przeczytaniu tej książki odnoszę nieraz wrażenie, że jej autor hołduje niekiedy uproszczonej metodzie interpretacji zjawisk, bardzo podobnej do tej, którą w niedobrym dla naszej humanistyki czasie serwowano nam jako (rzekomy) materializm historyczny. A. Micewski tedy, interpretując poglądy i obsesje R. Dmowskiego, chętnie odwołuje się do jego społeczno-klasowej gene-

alogii (np. s. 24, 59, 109 i inne), ale wydaje mi się, że nie zawsze celnie potrafił uchwycić zachodzące tu rzeczywiste uwarunkowania. Sądzę mianowicie, że zbyt mały nacisk położył on na problem, sygnalizowany przez I. Chrzanowskiego i S. Kozickiego, zresztą zauważony i przez samego siebie, mianowicie szlacheckich uwarunkowań światopoglądu swego bohatera, czego jednak nie potrafił przekonywająco zinterpretować.

Ojciec R. Dmowskiego był kamieniarzem, który później dorobił się jakiegoś przedsiębiorstwa, ale on i jego rodzina kultywowały szlachecką tradycję. Kamieniarz — ni to rzemieślnik, ni to robotnik, ni to przedsiębiorca — z herbowymi tradycjami: jakież pole dla powstania poczucia deklasacji, tak charakterystycznego dla tych, którzy zmuszeni opuścić swe dworki szukali chleba na miejskim bruku? Mamy dosadny, literacki portret tej sytuacji społecznej w powieści Antoniego Sygietyńskiego *Wyrzucony z siodła* (1891), Poczucie społecznej degrengolady i sublimacja herbowych pamiątek: toć taka była i atmosfera rodzinnego domu R. Dmowskiego! Więc: poszukiwanie winnych za ten swój marny los, nie w sobie oczywista, nie w obiektywnych przemianach świata, bo te z pozycji kamieniarza były niedostrzegalne, ale w ... Żydzie. Toć właśnie tutaj należałoby poszukiwać korzeni owej antysemickiej obsesji, której tak jaskrawym wyrazicielem był R. Dmowski. Zapytajmy: jakie kręgi stanowiły pod koniec ubiegłego wieku literacką publiczność pisarstwa Klemensa Junoszy-Szaniawskiego? Chyba właśnie ci, którzy Żydów winili za swoje własne niepowodzenia i klęski, a nie potrafili dojrzeć ich rzeczywistych przyczyn. R. Dmowski nie poprzestał na osobistej — typowej, jak podkreślamy, dla środowisk mieszczańskich proveniencji drobnoszlacheckiej, dotkliwie odczuwających własną deklasację — obsesji, starał się swój antysemityzm w swoisty sposób zintelektualizować.

I tutaj nasuwa się kolejna uwaga pod adresem A. Micewskiego. Stwierdza on, na co zwracał już zresztą uwagę w swojej pierwszej książce, że R. Dmowski formował się pod przemożnym wpływem pozytywizmu i został wychowany w oparciu o tak charakterystyczny dla tego nurtu kulturowego światopogląd przyrodniczy (s. 26—27, 108), będąc pod tym względem nieodrodnym dzieckiem swej epoki. Szkoda jednak, że autor nie wyprowadził z tego słusznego stwierdzenia pełnych wniosków. Na właściwą drogę interpretacji wskazywał już przed laty Kazimierz Tymieniecki pisząc: „Mówiąc o Dmowskim jako pisarzu politycznym nie można również zapomnieć o jego wykształceniu przyrodniczym. W samej metodzie traktowania zjawisk społecznych i narodowych jest w nim bez wątpienia wiele z pozytywisty. [...] Z pozytywizmu i z nauk przyrodniczych zaczerpnął prawdopodobnie Dmowski rozumienie znaczenia, jakie w życiu społeczeństw odgrywa walka. Stamtąd czerpał również pojęcie ewolucji, której podlega nawet charakter narodu”.

W książce A. Mickiewicza ani razu nie pojawia się nazwisko Augusta Wrześnińskiego, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, którego R. Dmowski był wszak uczniem. Właśnie A. Wrześniowski załatwił mu zapomogę z Kasy im. Mianowskiego i skłaniał do habilitowania się w Krakowie. Związki młodego R. Dmowskiego z jego profesorem były więc bliskie — z drugiej zaś strony wiadomo, że nie kto inny, jak właśnie A. Wrześniowski niedawno jeszcze skandalizował mieszczańską publiczność swymi wykładami o koncepcjach K. Darwina, czego środowiska zachowawcze nigdy mu nie darowały. Darwinizm społeczny, którego echa odnaleźć by można z łatwością w światopoglądzie młodego R. Dmowskiego, miał bardzo wiele postaci, nie tylko tę, którą nadawały mu środowiska lewicowe, adaptujące myśl darwinowską — nie tylko w Polsce — do ideologii socjalistycznej. Stanowił on również, w połączeniu z innymi wątkami, jedną z przesłanek dla

powstawania rozmaitych koncepcji o charakterze rasistowskim. Leżące u ich podłoża kryterium biologiczne wywodzi się ni mniej, ni więcej, ale właśnie z owego charakterystycznego dla pozytywizmu światopoglądu przyrodniczego. Nie jest też sprawą przypadku, że antysemita o zacięciu rasistowskim — oprócz R. Dmowskiego np. Teodor Jeske-Choiński — byli nie tylko ludźmi prawicy, ale nadzwyczaj często byli... bytymi pozytywistami. O tym, jak naturalistyczno-rasowe koncepcje obiegowej paranaukowej literatury inspirowały innego rasistę XX w., w jakiej mierze wpłynęły na jego światopogląd, świadczą jego własne wyznania w *Mein Kampf*, a także informacje, przytaczane w każdej poważniejszej pracy o autorze tej książki, choćby w popularnym u nas dziełku A. Bullocka. Droga od światopoglądu przyrodniczego à la positiviste do biologicznego rasizmu i interpretowania przy jego pomocy antysemityzmu (który przecież rodzi się nie tylko z tego źródła!) dla wielu ideologów mieszczańskiej prawicy społecznej w Europie była drogą typową. Kroczył nią nie sam jeden R. Dmowski. Na tym samym szlaku rodziła się ideologia „narodowego egoizmu” — by użyć terminu Zygmunta Balickiego — ze wszystkimi swoimi konsekwencjami.

Rozważania nasze zawiody więc od zagadnień metod interpretacji zjawisk do omawiania ich samych. Pozostańmy tedy w tym kręgu.

Jednostronność z dziwnym podtekstem

A przecież nie wszystkie jaskrawo jednostronne ujęcia, jakie zdarzają się A. Micewskiemu, można przypisać tylko niedostatkom metody. Najistotniejsze — o którym za chwilę — wydaje się mieć zgoła inny podtekst.

Autor wielokrotnie akcentuje w swej książce zasługi obozu narodowo-demokratycznego „w budzeniu nowoczesnej świadomości narodowej w Polsce” (s. 77), zauważa, że „rola obozu Dmowskiego w uświadomieniu narodowym w Królestwie nie może być kwestionowana” (s. 124) i tak dalej. Nie posądzam A. Micewskiego o bezkrytyczne sięganie po stare endeckie dogmaty ideologiczne i sam jestem jak najdalej od niedoceniaenia roli, jaką odegrał ruch narodowo-demokratyczny w omawianej sprawie. Chodzi jednak o to, by nie widzieć go w tej akcji jako samotnego bohatera: łatwo wykazać, że nie tyle sam tworzył on, ile przejmował, organizował, rozwijał, wreszcie sprowadzał na wyznaczoną przez siebie drogę ową eksplozję nowoczesnego uświadomienia narodowego, jaka zaznaczyła się od lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia w najróżniejszych grupach społecznych. Przesadą jest przypisywać endecji rolę demiurga: bardziej dyskontowała ona, jak się zdaje, niż tworzyła zjawisko społeczne, a dyskontując starała się, niejednokrotnie skutecznie, odciągnąć je z drogi, którą uważała za najbardziej niebezpieczną. Rację ma A. Micewski, gdy zauważa, że R. Dmowski uniemożliwiał syntezę dążeń do wyzwolenia narodowego z dążeniem do wyzwolenia społecznego. Nie ma natomiast racji, gdy sądzi, jak się zdaje, że jego bohater miał rację uważając, „że istniejące kierunki polskie, wysuwając sprawę rewindykacji socjalnych, nie mają przemyślanego programu polityki narodowej i planu wysiłków w kierunku odzyskania niepodległości” (s. 58) i dlatego wysunął koncepcje „wszechpolską i stworzył wszechpolski kierunek polityczny...” (s. 58—59).

Zarzut braku programu niepodległościowego, adresowany w stronę polskiej lewicy socjalistycznej, boć przecież o nią chodzi, gdy mowa o nurcie wysuwającym postulaty „rewindykacji socjalnych”, jaki formułuje A. Micewski zgodnie z tradycjami publicystyki endeckiej, jest nieuzasadniony i mógłby się ostać chyba tylko wtedy, gdybyśmy wzorem niedobrych praktyk sprzed lat potraktowali jako nieistniejący cały nurt niepodległościowego socjalizmu. Problemu niepodległości w polskim ruchu socjalistycznym nie będę tu omawiać; nie widzimy go dzisiaj

w sposób tak uproszczony, jak to czyniono niegdyś, i zdawałoby się, iż można by było wymagać, aby podstawowe ustalenia i ujęcia, choćby te, które przynioszą ostatnio prace Jerzego J. Wiatra *Naród i państwo* (1969), Wiesława Bienkowskiego monografia o Kazimierzu Kelles-Krauzie (1969), a zwłaszcza rzecz Mariana Żychowskiego o Bolesławie Limanowskim (1971), by wymienić tylko kilka ostatnich publikacji, były znane. Dodam jeszcze, że w świetle nie ukończonych badań Haliny Winnickiej nad świadomością historyczną socjalistów polskich końca XIX wieku okazuje się, że w praktyce codziennego działania i myślenia sprawa konieczności również i narodowego wyzwolenia Polaków była jeszcze bardziej obecna niż w refleksjach teoretyków, i to nie tylko na prawym skrzydle ruchu. Zestawiając chronologię pierwszych enuncjacji w sprawie niepodległości, jakie wychodziły z kręgów lewicy, z wystąpieniami prawicy społecznej ewidentnie ukazuje się pierwszeństwo socjalistów w porównaniu z przyszłymi endekami, ujawnia się — wbrew wypowiedziom A. Dmowskiego i ich repetycji u A. Micewskiego — że w czasie, kiedy przyszła endecja dopiero przemyśliwała nad swym programem, polska lewica wydawała ze swego grona konkretne myśli w sprawie odzyskania przez naród polski należnej mu niepodległości. Sprawy te były już wtedy — jak dobrze wiadomo — przedmiotem ostrych sporów w łonie obozu socjalistycznego, kontrowersji, które prowadziły do polaryzacji stanowisk, ale nie przesłaniały do faktu, że właśnie na tym społeczno-politycznym gruncie jęły się wypracowywać nowe drogi przyszłej niepodległości Polski. Rozumiał to dobrze R. Dmowski, więc rozwinął akcję, mającą na celu zawłaszczenie programu narodowego i uczynienie zeń oręża o ostrzu antyrewolucyjnym i antydemokratycznym, wykorzystując znakomicie wewnętrzne rozdarcie środowisk socjalistycznych. Akurat odwrotnie, niż sądzi A. Micewski, nie brak programu narodowego na lewicy, ale właśnie jego wykluwanie się, oto na co reagowali twórcy kierunku wszechpolskiego.

A. Micewski najśluszniej podkreśla na licznych kartach swej książki, że ruch narodowo-demokratyczny stanowił alternatywę zdecydowanie antysocjalistyczną i antydemokratyczną i tutaj znajdowała się siła, która spychała go coraz bardziej na prawo. Ów alternatywny charakter miał również narodowy program endecji, nie tylko w stosunku do socjalistycznego programu społecznego, lecz również sformułowanego na gruncie socjalizmu programu narodowego i niepodległościowego. Więcej: A. Micewski nie ukrywa, że z owym programem niepodległościowym endecji bywało różnie i że zarzuty, jakie w tych sprawach padały pod jej adresem, nie były znów całkiem bezzasadne. W obliczu nasilenia konfliktów społecznych również i pod tym względem obóz ten wykazywał objawy regresu.

Błędna, w moim przekonaniu, perspektywa, z której spogląda A. Micewski na dzieje socjalizmu, prowadzi do dalszych chybionych ujęć. Prawda, że autor dość enigmatycznie powiada o udziale przyszłej endecji w różnych obchodach patriotyczno-rocnicowych, jakie podejmowano w końcu XIX wieku. I tu również wpiśnięcie tych manifestacji jedynie na konto Ligi Narodowej byłoby przesadą i nie zdezaktualizowało dawno wypowiedzianego zdania Wilhelma Feldmana: „Nie pochodziły wszystkie te roboty z inicjatywy Ligi, ale jej członkowie umieli ujmować je energicznie, koncentrować, nadawać kierunek”. Na doniosłą rolę Ligi godzić się trzeba, ale na jej wyłączność w budzeniu i rozwoju świadomości narodowej i patriotyzmu mas — zgodzić się niepodobna.

Człowiek — polityk — ideolog

A. Micewski rozpatruje swego bohatera z trzech punktów widzenia. Przedstawia sylwetkę człowieka o indywidualności może — przynajmniej dla wielu — wielce nieprzyjemnej, ale na pewno też i nieprzeciętnej. Potrafił wdrzeć się do

osobistych tajemnic swego bohatera, stara się zgłębić zagadkę jego starokawalerstwa, dojrzeć echa najgłębiej ukrywanych, osobistych spraw. W tej sferze zagadnień liczy sobie A. Micewski wiele sukcesów, zaś wspomnienia i relacje bliskich bohatera, tak zawodne w innych sprawach, tutaj okazały się nieocenione. R. Dmowski — polityk, to krąg problemów, których ujęcie często budzić może zastrzeżenia, choć i tutaj sięgnięcie do nieznanych źródeł rękopiśmiennych, zwłaszcza z okresu wersalskiego, pozwoliło autorowi na uzupełnienie wiedzy historycznej o istotne szczegóły. Najmniej fortunate, ze wskazanych wyżej przyczyn, wydaje się ujęcie wczesnej działalności politycznej R. Dmowskiego; w odniesieniu do okresu międzywojennego autor niewiele wykroczył poza to, co już wcześniej powiedział w swoich książkach. Temperament historycznego publicysty każe mu niekiedy bronić swego bohatera tam, gdzie jego polityka może się spotykać z bardzo różnymi ocenami, ale nie dzieje się to kosztem przemilczania kroków, których obrońcy by nie sposób, np. w okresie 1905 r. Obrona jest jednak wyraźna, jak wówczas, gdy A. Micewski omawia problematyczną przecież wyprawę japońską swego bohatera: Dmowski, namawiając Japończyków do niepopierania polskich pomysłów powstańczych — zdaniem autora — „okazał się [...] graczem wybornym, przez umiejętność wnikliwego, głębokiego spojrzenia na problemy i wyjaśnienia ich innym” (s. 100). Jest tu takich dowodów uznania dla polityka więcej, jest zrozumiałe podkreślenie doniosłego znaczenia postawienia przez R. Dmowskiego sprawy polskiej jako problemu międzynarodowego i zdanie o tym, że był on „pierwszym polskim politykiem tego okresu, który dostrzegł zarodek konfliktu europejskiego w przesunięciu się równowagi sił na korzyść Niemiec i w ekspansji niemieckiej na południowy wschód” (s. 153). Jest tu też znane z książki o geografii politycznej II Rzeczypospolitej uznanie, jakie żywi A. Micewski dla geopolityki R. Dmowskiego, tej geopolityki, która przecież w swej istotnej części też całkowicie wzięła w łeb za sprawą programowej niechęci prawnicowego polityka do dostrzegania rzeczywistości — gdy była ona rewolucyjna. Jest wreszcie u autora bardzo, bardzo optymistyczna charakterystyka pana Romana w Wersalu...

Wreszcie: R. Dmowski — ideolog. Ten krąg problemów w ujęciu A. Micewskiego budzi jak wiemy najwięcej zastrzeżeń. Na konto autora zapisałbym tu właśnie tylko jeden bezapelacyjny sukces: fascynujący rozdział o jego bohaterze jako autorze dwóch mało znanych powieści, wydanych pod pseudonimem Kazimierza Wybranowskiego, zatytułowany: *Powieściopisarz — czyli spiskowa teoria historii*. Nie dziwiw się, że na łamach „Tygodnika Powszechnego” wciąż snuje się domysły, kto był współautorem drugiego z tych utworów, *Dziedzictwa* ukrywającym się (tylko w jego pierwszym wydaniu) pod pseudonimem Jerzego Zawady. Może przyjaciel R. Dmowskiego, świetny historyk literatury I. Chrzanowski, czemu dzisiaj stanowczo zaprzecza córka uczonego, a może pasjonujący się także osobliwymi zagadnieniami historycznymi historyk Kazimierz Marian Morawski lub zgoła kto inny?

I konkluzje

Pomimo całej swojej fascynacji bohaterem, nie poskąpił mu A. Micewski w zakończeniu trafnych, uzasadnionych, gorzko brzmiących pod piórem autora wyrzutów. Te strony książki zdają się być głęboko przemyślane i chociaż nie każdy zaakceptuje wszystkie sformułowane tutaj sądy, nie sposób nie ocenić zmagania autora z materią przedmiotu, jego rozterek i rozczarowań, które go do tych sądów zaprowadziły. Na tych — jednych z najlepszych — kartach pracy A. Micewskiego brakuje mi tylko jednego: próby wyjaśnienia, jak mogło dojść i doszło, długo po śmierci R. Dmowskiego, do spotkania diametralnie różnych światopoglądów

w jednej i tej samej, przez obie strony uznanej za wielką, sprawie: obecności Polski nad Odrą i Nysą. Ale jest to już całkiem inna historia, historia odnajdywania przez niektóre niegdyś endeckie kręgi — wbrew swojemu do niedawna stronnictwu — drogi do nowej polskiej rzeczywistości, historia nowych, jakże trudnych wyborów w nowych, niełatwych czasach narodzin Polski Ludowej.

W książce A. Micewskiego zbyt często ziarno miesza się z plewą, za wiele chwastów opłotło się wokół spraw najistotniejszych i najbardziej kontrowersyjnych. Nie mogę admiringować warsztatu i metod używanych przez autora, niezależnie od tego, czy uprawia on dziejopisarstwo, czy też publicystykę historyczno-polityczną. Wiele mam mu za złe, w odniesieniu do tego, jak zrealizował on swoją książkę, na pewno nie do tego, że ją napisał. Jeśli miałbym wybierać, to z dotychczasowego naszego piśmiennictwa o dziejach obozu narodowo-demokratycznego, podobnie jak Andrzej Garlicki w „Kulturze”, opowiedziałbym się za historiografią Jerzego J. Tereja i jej podobną. Ale staram się dostrzec również i to, co jest sukcesem A. Micewskiego: największym, że pokusił się o tę ambitną, chociaż nie najlepszą, ale przecież pierwszą u nas książkę o Romanie Dmowskim.